



PAWEŁ SOŁTYS

Co się robi, gdy się wydało książkę


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

PAWEŁ SOŁTYS

Co się robi, gdy się wydało książkę

I.

Kiedy zostało się już tym pisarzem, wydało książkę, zaczęło i szybko przestało czytać gazetowe recenzje i internetowe opinie, wtedy dzwonią. Dzwonią i mówią: Dzień dobry, panie pisarzu, może pojechałby pan w trasę po Europie Środkowo-Wschodniej, poczytał środkowoeuropejskim słuchaczom swoje dwa opowiadania, które uprzednio przetłumaczone, przesuwają się za pana plecami w czeskim, słowackim, a nawet ukraińskim tempie na specjalnym międzynarodowym ekranie, a następnie jeszcze chwilę porozmawiałby pan z prowadzącą albo prowadzącym o swoich tekstach, o kondycji literatury, o miażdżycy demokracji i tuberkulozie mediów? I pisarz się oczywiście zgadza, bo kto by nie chciał pojechać koleją do Brna, autobusem do Ostrawy, potem znowu koleją do Koszyc i wreszcie zepsutym samochodem przez góry, Zakarpacie, aż do Lwowa? I to jeszcze zahaczywszy gdzieś po drodze o złoty od upału Wrocław. Kto by nie chciał, żeby historyjki o Marku z Grochowa przeglądały się w niebieskich oczach Czeszek, Polaków, Słowaków i Ukrainek? Więc się odpowiada: Tak, chciałbym — dopiero po chwili uświadamiając sobie, że się będzie jeździło z obcymi ludźmi, z obcymi pisarzami, w dodatku w tym roku gościem honorowym jest Turcja, więc trzeba będzie używać angielskiego, prowadzić te małe rozmowy, które z pisarzami bezwiednie przekształcają się w eseistykę na żywo, pod stukot kół, pod piwo, pod „cholera, musi tu być gdzieś jakaś toaleta”. Ale słowo się rzekło, chciałoby się.

2.

Przywitaliśmy się, na tyle mój angielski pozwala, i ruszyliśmy z polskim kierowcą do Ostrawy, tam dwaj autorzy z pięknych krain zostawali na wieczorne spotkanie, a ja z biletem w lewej i piwem ostravar w prawej ręce miałem pociągami sunąć do Brna, perły baroku. Mój zmysł lingwistyczny jeszcze przez chwilę wylawiał z szybkiej rozmowy: pogodę, profesje rozmówców, nazwy miast, z których pochodzą, ale rozmowa przyspieszyła, jakby kierowca wrzucił czwórkę nie tylko w mercedesie, ale i w głowach moich towarzyszy. Zaczęło się.

Leleorylicośćamcośćam Céline! — powiedział słowacki dramaturg i eseista. Ołrajt-gudleljamcośćam Ezra Pound! — odpowiedział mu turecki nowelista. I obaj popatrzyli na mnie. Spanikowałam. Przymierzałem tego Céline’a do Pounda, jakiś poetycko-nazistowski krzyżak mi wychodził, taki, co potem nawiedzi cię w nocy, szepcząc w języku zagubionych, ale tamci patrzyli wyczekująco... Samuel Beckett! — palnąłem bez dodatków, no bo jakie niby miałbym mówić dodatki? Słoweński dramaturg się skrzywił, jakby zabolął go nagle ząb mądrości (a wyglądał na takiego, co ma i ósemki, i dziewiątki), ale turecki, samobójczo przystojny nowelista ze Stambułu popatrzył na mnie uważnie i pokiwał głową. Jakby ktoś mu właśnie pokazał wzory skróconego mnożenia. I popadł w zamyślenie. Na próżno Słoweńiec próbował złowić jego wzrok, Turek był dla świata stracony, znalazł się w jakimś miejscu, gdzie Céline, Pound i Beckett mówią do siebie po turecku, piją po turecku kawę, palą stambulską sziszę i mówią rzeczy tak piękne, że orbity planet pękają jak zbyt długo eksploatowane tory.

Wysadzili mnie w Ostrawie na dworcu, tam mężczyzna bez nóg poprosił mnie o papierosa po czesku, pani w barze dworcowym po śląsko-polsku rozmawiała ze mną o dodatkach do langosza i drobnych koronach, których oczywiście nie miałem, a potem,

raz jeden w tej podróży samotnie, pojechałem do Brna, przeklinając swoich nauczycieli angielskiego, własne lenistwo, czas i miejsce urodzenia, które wyposażyły mnie w polszczyznę, ruszczyznę i kikut języka Milтона, którym kuśtykam do — oby jak najszybszego — końca. W Brnie było barokowo, czułem się jak prawdziwy pisarz i tak mnie traktowano, w siedemnastowiecznym hotelu, już po spotkaniu i sześciu piwach z sześciu wartych poematu morawskich browarów, o mało nie zacząłem pisać eseju. Niewiele brakowało.

3.

Za to w hotelu w Ostrawie na wieszaku wisiał czarny parasol. Mój ojciec i dziadek nosili takie, klasyczne, krukowate, z drewnianą rączką. To chyba nieczęsty zwyczaj, parasol dla gości, ale możliwe, że za rzadko bywam w hotelach. Na zewnątrz zaiste padało. Rzęsiście. Pamiętam, gdy byłem dzieckiem, to „rzęsiście” mnie zastanawiało. Z jakich rzęs ta woda? A przecież nie chodziliśmy do kościoła, by mieć prostą, dziecięcą odpowiedź. Jeśli są rzęsy, to muszą być i oczy, to już wystarczająco straszne. Oczy w makijażu deszczowych chmur. A co za nimi? Konceptje znałem, czytałem dużo, przeczytałem oba testamenty i mity greckie w trzech wersjach. Oczy są przecież nie tylko do patrzenia, są do oceniania, do podglądania spraw wszetecznych i tajemnych. Do gromienia są. Mają te rzęsy i mają brwi. Mój ziemski i niewysoki ojciec unosił brew w chwili gniewu. Nie bił, nie krzyczał, unosił brew i mówił do mnie „Pawelku”. Och, to „Pawelku” było całe z grozy, z czekania na ojca po wywiadówce, ze zbitych szyb, rozbitych nosów, z papierosów caro wypalonych na stegiennym amfiteatrze. Do miłych rzeczy był Pawciulek. I mama, i tata używali tego Pawciulka jak nagrody, od Pawelka dzielił go cały dekalog. Od dobrych do złych, potwornych uczynków. A potem miałem piętnaście lat, dzwoniła do mnie dziewczyna, którą kochałem, a ojciec wołał: „Pawciulku, do ciebie!”. I jak być po czymś takim młodym mężczyzną, jak być po Pawciulku seksownym i pociągającym? Więc Pawciulka też znieubiłem. Znikła skala uczynków, w obliczu miłości Pawelek i Pawciulek stanęli obok siebie i trzymali się za brudne, zdolne do potworności ręce.

Dziś do obu tęsknię. Dziś jestem Pawłem, chodzę po dużym hotelowym pokoju w Ostrawie z czarnym parasolem na ramieniu. Jak żołnierz z karabinem na defiladzie. Defiluję od okna do łóżka, od telewizora do drzwi łazienki. Przed jakimiś oczami taki parasol chroni. Myślę o tamtej dziewczynie, jest dziś żoną mojego najlepszego przyjaciela, pijamy wino i udajemy wesołych. Puk puk — nagle. I zanim zdążę zareagować, drzwi pokoju się otwierają. No tak, nie wywiesiłem karteczki na klamce, pora sprzątnięcia. Stoimy i patrzymy na siebie. Ja z rozłożonym czarnym parasolem i czeska pokojówka w pełnym uniformie. Trwa to chwilę, słowa się nas nie imają. Jest młoda, ma długie czarne włosy i plakietkę z imieniem. W końcu ona duka po czesku: Promiňte! I wychodzi, zamykając drzwi. Podchodzę do nich i słyszę jej na westchnięciu przeciągłe, przepięknie, wschodnio-czeskie: Kuuurva!

4.

A potem podróżowałem już z niemieckojęzyczną parą. Oboje starsi i mądrzejsi ode mnie. Ona z korzeniami w Anatolii, ale pisząca po niemiecku o kobietach tureckich w diasporze w RFN, on wsobny, elegancki, sprzedający miły, rodem dziadków z Walii, ale naprawdę Niemiec z Pomorza, wybitny dziennikarz i autor reporterskich książek, na oko — trzy nagrody Niemieckiego Stowarzyszenia Wydawców i półtora Pulitzerza. I kiedy wybitna niemiecka pisarka tureckiego pochodzenia zapytała mnie: „A ty co piszesz?” — odpowiedziałem, nawet bez udziału tłumacza: „Short stories”. A ona popatrzyła na mnie dobrymi, niemal czarnymi oczami, wyglądała jak moja babcia, która z kolei wyglądała jak piękna, mądra Żydówka, choć miała panieńskie nazwisko Łapć. Spojrzała i tym swoim angielskim, który był zrobiony z zaokrąglonego niemieckiego, spytała dalej: „Ale o czym one są? O ludziach?”. Wziąłem oddech, w którym był morawski wiatr, w którym był zapach kradzionych czereśni, w którym sierotki po państwie wielkomorawskim zamieniały się w sierotki Taboru, wziąłem największy oddech świata, przez sekundę byłem tak pełen powietrza, że wyglądałem jak Sophia Loren, brakowało mi tylko biustonosza i łańcuszka na kostce. „Tak. *O ludziach*” — odpowiedziałem słynnej niemieckiej pisarce tureckiego pochodzenia, ale zaraz zrobiło mi się wstyd, bo wiedziałem, że to przez ten pierdolony

angielski, którego oboje nie znamy, i marzymy tylko, by mówić do siebie po turecku, po polsku, po rosyjsku, po niemiecku. W tych wszystkich językach mniejszych, w których nasze dusze mniej więcej się orientują i nie noszą gorsetu dla dusz z napisem: Made in UK.

5.

Siedział naprzeciwko mnie i tak śmiesznie poruszał wargą, a nad nią miał wąs jak ze starożytności. Takiego, jakiego używał mój ojciec. I patrzył na mnie siedzącego z piwem w ręce. Przestraszyłem się, że to może z przyganą, więc wydukałem coś w ogólnosłowiańskim, że przepraszam i nie będę, ale on odpowiedział po czesku i podniósł ręce w tym uspokajającym geście, który rozumieją znarowione konie, przestraszone psy i polscy pisarze. I dopiero po tych dłoniach było widać, ile ma lat, nie siedemdziesiąt i nie małe osiemdziesiąt nawet. A potem dodał coś i znowu wykonał gest, też zrozumiał. „Hmm, ale nie mam drugiej puszkę” — odpowiedziałem jemu, a trochę też sobie sprzed dwóch godzin, idiocie, który zabiera jedną puszkę pilsnera do pociągu relacji Brno — Bohumín. Ale starszek znowu zastrzygł tą wargą z wąsem jak nerwowy kundelek, znowu coś mówił i pokazywał. Aaa, że tą? No dobra, dziwne to, ale przecież nie mogę odmówić. Podałem mu puszkę i napił się, ale zaraz mi ją zwrócił. Aha, to tak, i co, mam teraz ulec manii czystości? Czym właściwie może mnie zarazić? Starością, czeszczyzną? A ja jego tym naszym szeleszczeniem i kaskadami nosówek, a może jeszcze tym smutkiem, który noszę jak dobry humorek? I wziąłem łyka. Potem on znowu. I ja jeszcze. Piliśmy na spółkę piwo z puszką, nasze palce zetknęły się raz czy dwa, ale nie bito wtedy w dzwony, nie spadały z nieba błyskawice, nie zamieniliśmy się językami ani przeszłością. On cały czas coś opowiadał, nic sobie nie robiąc z tego, że rozumiałem tylko pojedyncze słowa. Skupiałem się na tej czeskiej czy raczej morawskiej intonacji: jak dźwięki wchodzą pod górę i schodzą w dół, a góra jest niewielka i każdy z dźwięków ma inny sposób wchodzenia i schodzenia niż nasze, a nasze mają inny niż te moskiewskie i inny niż mińskie. Wysiadł w Přerowie, nikt go nie witał.

6.

Ach głowo, głowo moja, nabita fiu-bździu, czemu każesz mi wyobrażać sobie ich wszystkich, niemiecką pisarkę tureckiego pochodzenia, słowackiego dramaturga, tureckiego noweliste o oczach przeświecających ubrania, czeskiego starca z niespokojną wargą, a nawet niemieckiego reportera, który nie chciał rozmawiać o Wrocławiu z powodów rodzinnych, czemu każesz mi wyobrażać sobie ich wszystkich w nowoczesnych, przestronnych jak lotniska łaźniach Art-Hotelu, płaczących pod prysznicem? Z czeskich, słowackich, tureckich i niemieckich powodów, których oczywiście nawet tak nowoczesny prysznic nie zmywa. Jedni się kulą, inni opierają dłońmi o ścianę jak na policyjnym przeszukaniu. Starzec w ogóle rozkłada ręce i całymi dłońmi przylega do szyby i kafelków, wygląda jak orzeł szykujący się do lotu, ale tak naprawdę stara się nie przewrócić. Ja osobiście polecam oprzeć się plecami o ścianę, na której wisi prysznic, ręce wzdłuż tułowia, jakby się patrzyło na ruch uliczny w małym miasteczku albo odpoczywało po seksie. Wtedy lzy od razu się splukują, rozpuszczają, by spłynąć rurami do podziemnej wrocławskiej kanalizacji, dryfować przez fetor i odpadki. Obmywać szczury i szczurze truchła.

7.

Albo był sobie Polak, Słowak i Ukrainiec. Byli sobie w Koszycach, ale nie w tej części, gdzie urodził się Sándor Márai, węgierski geniusz, nie, zupełnie nie, byli sobie w części betonowej, w cieniu bloków, choć słońce zachodziło i ćmy siadały im na włosach. Jeden był profesorem, drugi przedsiębiorcą i kierowcą, a trzeci wymawiał się od wódki. Ale Ukrainiec przywiózł ją w prezencie, ale Słowak nie miał nic przeciwko, ale ćmy krążyły z namową wypisaną na czarnych skrzydłach. Polak, Słowak i Ukrainiec pili na stojąco, z plastikowych kieliszków, Ukrainiec po polsku wyliczał: pierwszy za spotkanie, drugi za przyjaźń, trzeci za miłość, czwarty, by źli ludzie nie siadali z nami do szachownicy, piąty — prokuratorski — za korupcję! Księżyc zmienia słońce na obcinę, papierosy, kto ile

dzieci, hokej czy piłka, który z rządów nurza się w najsmrodliwszej cieczy. Słowak ma ojca Rusina, dziadek Polaka urodził się w Kijowie, Ukrainiec jest ze Lwowa, poza wszystkim jest skarbnikiem przy swojej cerkwi. Grekokatolickiej. Jeździ do Polski, pod Łódź po kalesony dla chłopaków na front. To rząd nie daje? Rozkradają. Jakżeby inaczej. Idzie mu w ogóle w mistycyzm, nawet w ezoterykę może, ale u Słowaka i Polaka nie ma jeszcze wojny, więc nikt się nie czepia. Na zagrychę są cukierki, nie schodzą. Mogliby przegryzać ćmami, ciemnymi ćmami, które zawsze krążą, gdy spotka się Polak, Słowak i Ukrainiec. Ale nie dziś, dziś odpędzają je machnięciami dłoni, żadne z machnięć nie udaje salutu. Po profesora przyjeżdża taksówka, by zabrać go do sąsiedniego, też uniwersyteckiego miasta, kierowca i ten trzeci, dziabnięty zdrowo, idą na piechotę do hotelu. Katedry nie widać, ale jest tak ogromna i piękna, że nie musi być jej widać wszędzie. To by jej nawet uwłaczało. Miałem brata w Warszawie, ale serce mu pękło z przepracowania. Zawał.

8.

Bo kiedy się zostało pisarzem, wydało książkę i jeździ się po Europie, udając tego, za kogo cię biorą, za kogo sam się trochę bierzesz, bo rozmowy, bo piwa czeskie, polskie, słowackie i białe lwowskie, bo Martin, Hałyna, Natalka i Peter mówią do ciebie poważnie, nawet jeśli rozumiesz ćwierć z tego, co próbują ci powiedzieć, kiedy się jest tym dziwnym, przemieszczającym się ciałem z oczami utkwionymi w nowych widokach, w nowych twarzach, z uszami, które niemal się ruszają, jak uszy dziadka (znał tę sztuczkę), by złowić podobieństwa i różnice, kiedy się opowiada o marynowaniu grzybów i po reakcji można rozpoznać, kto skąd pochodzi, kiedy się opowiada głupstwa, z których pewnie ci inni wyciągają za daleko idące wnioski, i samemu stara się wnioskować jak najmniej, bo to wszystko niewiele warte, powierzchowne i chybione, wtedy się wpada na banalną konstatację. Tak samo jesteśmy śmieszni, tylko zasób słów w naszych małych językach inaczej rozpycha nam serca. Wtedy stoi się na zakarpaciej stacji benzynowej z niemieckim reporterem i zazdrości się parze Cyganów, którzy zajechali właśnie malutkim wozem drabiniastym zaprzężonym w niskiego, chyba huculskiego konika. Nic nie trzeba mówić, nawet nie trzeba na siebie patrzeć, zazdrość pachnie.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/soltys-co-sie-robi-gdy-sie-wydalo-ksiazke>

Tekst opracowany na podstawie: Paweł Soltys, *Co się robi, gdy się wydało książkę*, 2019, wyd. I.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: [Warfield \(mostly away\)](https://www.flickr.com/photos/warfield/)@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5710-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając [zbiórkę na stronie wolnelektury.pl](https://www.wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](https://www.fundacja.nowoczesnapolska.org.pl/).